

Bóg płodności i piękna
zaklęty w płótnie,
bez widma Fausta
i chłodu Mefista.

Izaak Newton zachwyca się surrealizmem

na łące tańczy zepsuta ciężarówka
pan z Tamburynem powoli schodzi
z obłoku
Izaak Newton podrzuca jabłko
na przekór grawitacji
wprost do nieba

kot z Cheshire
spogląda z pobłażaniem
właściwie jak zawsze
tylko jego uśmiech
zakwita
Adam i Ewa ubrani
u Armaniego
marzą o dobrej pracy

zegar Salvador Dali
symfonicznie
gaśnie
pan z Tamburynem odpływa
tamtego czasu nie ma

Izaak Newton stawia pierwszy znak
swojej księgi
nieistnienia
pracowite życie jabłka

* * * (kto wymyślił)

kto wymyślił zapach kawy
i czas
czas wirujący
i kruchy
wieki stukają obcasami
przebiegają pod powiekami
idę po brzeg możliwości
wrażliwości linii

kto wymyślił prostą
nieskończoną
pole do potęgi n-tej
roztączonych kół
kto to kiedyś złoży
w doskonałość

Jerzy Beniamin Zimny

Grzybobranie

Na ścieżce leśnej butelka po wódce,
w krzakach tampon, w rowie podpaska –
znaki szczególne rozwoju cywilizacji.
Krzak jarzębiny czerwienią od wstydu,
dziewczyna wyczekuje skazańca.

Jesteśmy w połowie drogi z Trzciana
do Szczawnicy, nikt jeszcze nie zakrył dna
w koszyku, rozpięte koszule świadczą
o naszych zamiarach. Brak sznurówek
w butach jeszcze z czasów przekształceń.

Gęsto, coraz gęściej i mroczniej,
coraz mi bliżej do roli skazańca.
Mogę się wypróżnić i mogę coś jeszcze.
Dziewczyna wypełniona szczęściem
odchodzi. Ten rozdział jest ostatnim.
Jeszcze tylko posłowie dzikich gęsi.

Transformator

Pod Biedronką kwiat dzielnicy Dębiec,
przed apteką – awers tego kwiatu,
przychodnia pęka w szwach, w windzie
można nocować, a na pobliskich łąkach

odespać dziwki. Uciekam od wyrażania
miękkiego jak plusz, zawsze sękaty jak deska,
nierządkiem kamieniem mnie odbierają
w urzędach. Cóż, na gruzach wydziału

montażu lokomotyw wyrosło się niczym
dym z ogniska gryzący w oczy tych, co
liczyli na mój pieski posłuch. Wyszczekali,
co mieli dla ludu, teraz nie ma komu słuchać

opowieści o zamorskich krajach, o wysypie
czereśni – symbolu przemian. Była woda w
wino, jest wina w niepamięć wdeptana jak
pet w rozgrzany asfalt.

Credo

Nie urodziłem się dla orkiestry
ani kompanii honorowej, jak już
to dla chóru wodnego ptactwa,
bo jest najgłośniejsze, bo lubi
rybie mięso. Nie urodziłem się
w lutym ani w maju, tylko
w marcu. Bo wtedy pękają lody,
między ludźmi jest coraz cieplej.

Nie urodziłem się, tylko mnie
przebudzono z hibernacji. Piszę
wiersze, które nie toną w wodzie,
ogień ich nie marszczy. Czasem
milczę, kiedy trzeba obrazu i pieśni.
Czasem mnie długo nie ma
na okres złotych deszczów.

Ale jestem zawsze w pobliżu płaczu,
nikt mnie nie widział tam,
gdzie uśmiech gości. Bo poezja
coraz bardziej przypomina
nieproszonego gościa.

Dobra jest noc

Dobranoc, poezjo, winna moich chorób.
Dopiero w grobie się od ciebie wyzwolę,
taki już los słowiarza. Żyłobyś wbrew czasem
w parszywej legendzie – a tu wielki buldożer,
a tam dziura ogromna, w pokoju pustka;

nie ma komu zasiedlić najwyższych pięt.

Przyjmij mnie, Panie, na stróża, będę
pilnował owiec.
Ostrzyżeni wszyscy, pozbawieni imion
pierwszych.
U Ciebie będzie mi lżej, moja legenda nic
niewarta.
Może tylko mój pies wyszedł na swoje,
bo ja nigdzie nie wyszedłem.

Na śmierć stolarza

Żaden poemat nie ma w sobie tylu trumien,
ile wykonał Florian, stolarz z Krosna.
Żaden wiersz nie pachniał jeszcze pokostem.

Modlitwa na sucho grozi zatarciem.
Świecek zgaśnie w garści z czterech palców.

Wypada po butelce na głowę.

Wypada po głowie z zawartością butelki
na każdą trumnę wykonaną przez Florka.

Śmierć poety

Wiersz ten będzie miał tragiczny koniec.
Dlatego, że widziałem dzisiaj krew na ulicy,
dlatego że słyszałem syreny.
Wiersz będzie miał środek kosmiczny,
wystartują rakiety, spadną komety ogniste.
Wszyscy będą rozebrani i wyjdą na mróz,
aby zrozumieć nagie dzieciątko w kołysce.
Krzemień potarty kamieniem błyszczący,
w wierszu jest polana, a na niej lotnisko,
będziemy lądować na plaży twarzą w
poduszce.

I tak warto było wszystko od kołyski.
Noc to piernik lukrowany mgłą,
sen - nie to samo co czapka niewidka.
Aby koniec miał drzwi, poeta wisi na
sznurku,
śpiewa głosem zawiasów, milknie mysim
piskiem.

Epilog

Kraj jak krajalnica, region jak przegródka,
do której los wrzuca trupie główki.
Wierzysz w moc modlitwy wieczornej,
że jest szczotką do zamiatania, w pokoju nie
ma
paxu ani world końcówki. Nie będzie
czasówki
ani oesów. Jedynie kropka pozostawiona
na korytarzu przemówi do rozsądku.
I on pięknie - ten rozsądek - na kawałki,
pięknie też fama jak tama.
Mów mi zdrobniale, abym umarł w drobne.
I taka będzie pamięć o mnie.

